Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 27. Lutego 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 9.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy)

Nazajutrz rano gdym oczy otworzył, zobaczyłem go spacerującego po pokoju w paltocie, z cygarem w ustach.

— Wiesz pan co — mówił cicho — wczoraj na wieczór konie nasze dostały sześć garncy owsa, dzisiaj rano sześć! — Żałuję żeśmy nie zabrali i trzech źrebaków ze sobą.

— Szkoda — rzekłem.

—Stało się—zawyrokował filozoficznie Dumcio! — Wiesz pan co, całą noc śniła mi się Celinka, a mając rano czas, dopucowałem z Kubą szory. Kuba miałby ochotę zostać się tu bodaj z miesiąc. Dostał wczoraj chleba pytlowanego z masłem — miskę mleka z białemi kluskami i kielich wódki. Szory się świecą jak lustra. — Pojedziemy wcześnie naprzód; — niech zobaczy choć ojciec, on przecie musi się znać na koniach.

— I dobrych szorach — dodałem.

— Bo pewno!

Poproszono na śniadanie.

Kuzynka, zdawało się, że jest znużona, przybladła nawet nieco. Co spojrzała na Dumcia jakiś smutny uśmiech zagościł na jej ustach i odlatywał. — Za to Dumcio był wesoły, mówiący, pełen dowcipów i oryginalnych porównań. — Zaraz po kawie, pobiegł do gościnnego pokoju.

— Mam już odpowiedź — mówiła mi smutnie kuzynka. Biedaczki boją się ogromnie, lecz cóż? ojciec czytał list i zaprasza stanowczo. — Zaczynam sobie wyrzucać lekkomyślność, lecz i ty jesteś winien.

— Czyż nie napisałem ci całej prawdy?

— Byłam pewną, że swoim zwyczajem chcąc się popisać stylem i dowcipem, dobrałeś zbyt jaskrawych farb, do odmalowania Dumcia.

— Żałuję, że tym razem zawiodłem cię.

— Bo lepiejby było, gdybyś sam przyjechał. Lecz cóż trudno ci się oderwać od tego Wronowa, aby odwiedzić najbliższych krewnych.

— Widzę, że jesteś rozdrażniona całą tą sprawą... Rób jak ci się podoba. Co do mnie, przyrzekam ci posłuszeństwo.

— Gdyby to we wszystkiem?!

Wpadł Dumcio we fraku i białych rękawiczkach. — Kuzynka spojrzała się na mnie, ja zaś spuściłem oczy.

— Bóg tam wie jak wypadnie — mówił uśmiechnięty, i żeby już nie było kłopotu, człowiek się ubrał na cały dzień. Przyznam się pani dobrodziejce, że drżę z niecierpliwości, aby jaknajprędzej poznać pannę Celinę. A możeby to było i nie źle wprost po kościele na obiadek zajechać?

— Dowództwo wyprawy objęła kuzynka — rzekłem — nam tylko słuchać rozkazów należy.

Dumcio ukłonił się szastając nogami. Szajba mu wypadła, wsadził ją w oko i chodził poważnie pewny siebie.

Zaproszeni do powozu pani, ruszyliśmy w imię Boże do kościoła. — Tuż zaraz koło cmentarza, stał okazały powóz, lecz konie i szory nosiły na sobie ślady wieku i ciężkiej pracy. — Dumcio trącił mnie nogą i spojrzał z dumą na uprząż jak się domyślał z Drabikówki, a potem pochylił się, aby raz jeszcze rzucić okiem na swą czwórkę i świecące się na niej szory. Kuzynka przeszła do kościoła przez zakrystję, wskazując nam główne drzwi.— Lecz zaledwie stanęliśmy pod chórem, Dumcio zaczął spinać się na palcach i spoglądać przez szajbę na kolatorską ławkę.

— Nic nie widzę, — szepnął mi — i zaczął się z całą gwałtownością przeciskać przez tłum.

Schwyciłem go za połę fraka — wyrwał się jednak — i oparł się aż pod samym wielkim ołtarzem. — Obserwując Dumcia podsunąłem się pod ambonę. Przecież i ja byłem ciekawy.

Panna Celina, szatynka, o bladej twarzy, dużych niebieskich oczach, i gładkiem czole, troszeczkę może za wysokiem, lecz za to usta i zabłąkany na nich uśmiech smutku i tęsknoty pociągał — budząc szlachetne myśli. — Patrzałem na ten dziwny, artystyczny rysunek ust — owal twarzy podłużny lecz sympatyczny i duże oczy... Coś miała w sobie z Corregia i Guido-Reni. — Tak, tak słodycz i miękkość Corregia — a uśmiech wykradziony z pod pędzla Guido-Reniego... Zacząłem marzyć jak gdybym był w Drezdeńskiej galerji obrazów. Jakoś mi było dobrze i ciepło na sercu. — Myśli przyjemne, zdobne pociągającemi obrazami przesuwały się jedna za drugą. Dumcio mi tylko przeszkadzał wyciągając szyję, aby lepiej przez szajbę przypatrzeć się pannie Celinie.

Nie odstraszał go ani mars i zawiesiste wąsy, domyślam się, jej ojca, ani szlachetne, ujmujące a wzbudzające szacunek rysy jej matki, która ile razy spojrzała na Dumcia, przenosiła wzrok na kuzynkę, jakby się jej spytać chciała, co to wszystko znaczy.

Skończyło się nabożeństwo. Dumcio nie myślał o odwrocie. Byłem mocno na niego zirytowany, lecz musiałem sobie powiedzieć jak Dumcio dziś rano w kwestji źrebiąt — stało się! — Później umieścił się w drzwiach zakrystji czekając na pa-

nie. — Co do mnie, cofnąłem się wraz z ludem głównemi drzwiami.

Zanim obszedłem cmentarz, już mój Dumcio był w najlepszych stosunkach, jeżeli nie z paniami to z panem Pęgowskim. Rozprawiał, śmiał się i rozkładał rękami. Mowa toczyła się o koniach, a więc był w swoim żywiole. Kuzynka zarekomendowała mnie — a przedstawiając pannie Celinie nie wiem dla czego zarumieniła się. Zarumieniłem się i ja również i jak zwykle bywa zarumieniła się i panna Celina— dla tego pewnie straciłem dużo na odwadze i swobodzie.

Za to Dumcio nabierał z każdą chwilą coraz to większego rezonu.

— Panie dobrodzieju — mówił zwrócony do ojca panny Celiny — mierzyny zwyczajne, swego chowu, w bronach kłusują aż miło, garniec owsa na dobę — tylko oko pańskie!... Kuba przejedź.

Kuba trzasnął z bicza i przejechał kłusem. Widziałem jak z za dużych wąsów wychylał się uśmiech na twarzy pana Pęgowskiego, lecz znikł pokryty marsem siwiejących nastrzępionych brwi.

— Widzę, że czwórka dobrana — rzekł z powagą.

— Ale jak — zawołał Dumcio — jak jeden. Gdybyś pan dobrodziej pozwolił — zawiózłbym go, abo może damy. Ukłonił się damom. Panie spojrzały na kuzynkę — kuzynka na mnie z pewnym wyrzutem.

— Chętnie skorzystam z miejsca na pańskim wózku — odparł pan Pęgowski— jeżeli zostaniesz pan u nas na obiedzie.

— Z największą przyjemnością zawołał Dumcio — panie zwróciły się z zaproszeniami do kuzynki i do mnie, lecz nie przyjęliśmy, przyrzekając stawić się na popołudniową kawę.

Matka z córką powozem, pan Pęgowski z Dumciem najdyczanką wyruszyli do Drabikówki.

— Drżę o Celinkę — mówiła z zadumaną minką kuzynka, bo chociaż Pęgowski nadto wielki pan, aby się odrazu nie poznał na twym Dumciu — to pewnie dla tego również uwierzy, że weźmie w swe ręce cały jego majątek i będzie robił z nim co mu się podoba — i nie zawaha się poświęcić córki.

— Powątpiewam — rzekłem na swe usprawiedliwienie.

— Nie powątpiewaj, czyż nie znasz namiętności posiadania u tych, którzy już raz stracili majątek? — Tem więcej, że twemu Dumciowi nie brak ani na sprycie, ani na odwadze cywilnej.

— Już drugi raz tytułujesz Dumcia — moim Dumciem.

— Któż go tu przywiózł? A teraz w jakiem świetle stajesz przed temi idealnemi kobietami?

— Dziękuję ci, gdyż to twe dzieło.

Roześmiała się sucho.

— Zbyt skwapliwie spełniłeś rozkazy.

Zamilkliśmy. Kuzynka chcąc przerwać ciszę — spytała:

— Jakże znajdujesz Celinkę?

— Sympatyczna.

— Czyż nie jest piękną?

— Nie powiem — piękną nie jest, lecz zdaje się ma coś więcej nad piękność.

— Słucham.

— Ma pewien czar...

— Którym podbija — przerwała.

— Nie — którym pociąga.

— Uważałeś ten uśmiech — pamiętasz go?

— Raz widziany nie zapomina się już nigdy.

— I te oczy?

— Uśmiech zwycięża oczy i panuje nad niemi.

— I znowu zamilkliśmy.

— Ciekawam co tam Dumcio robi — zaczęła kuzyneczka jakoś weselej.

— Niezawodnie dziś wieczór oświadczy się.

— Niepodobna.

— W tym kierunku Dumcio jest gwałtowny.

Rozmowa znowu się urwała. — Przyznam się, że nie byłem wymowny. Kuzynka również nie starała się mnie rozerwać.

Smutno także przeszedł i obiad. Oboje byliśmy roztargnieni i zamyśleni.

Kuzynka nareszcie się rozśmiała.

— Wyglądamy jak zagniewana para zakochanych — i gdyby był mój mąż, chociaż nie jest zazdrosny mógłby się nim stać.

— A więc bądźmy weseli i bawmy się jak kuzyni którzy się kochać nie mogą.

Ależ byłabym wesołą, gdyby nie to, że mi żal Celinki.

— Kochasz się w niej?

— Przyznam ci się, kocham ją jak siostrę — a byłabym dumną gdybym miała córkę podobną do niej. Rumieńce oblały jej twarz — rzęsy pokryły w połowie oczy, wpatrujące się z ciekawością w talerz.

Po obiedzie depcząc miękkie trawniki ogrodu słuchałem opowiadań o starym rodzie Pęgowskich i możliwe szczegóły z życia Celinki. Z jakiem poddaniem się przyjęła zmianę losu, jak umie się zastosować do nowej pozycji. — Kuzynka była wymowną a ja zasłuchany.

Nareszcie wybiła godzina 4ta, ruszyliśmy do Drabikówki.

Mały dworek okryty winogradem — przed oknami ogródek — grządki kwiatów obłożone białymi kamykami — dobrze odbijały przy ciemnej zieleni rabatów.

Patrzałem z ciekawością na te skromniutkie ozdoby. — Kuzynka uśmiechając się z mego zajęcia szepnęła mi:

— Praca i gust Celinki przeniesiony z pięknego parku do folwarcznego ogródka.

Na powitanie wybiegła Celinka, za nią jej matka — później ukazał się wspaniałej postawy gospodarz i pan domu, za nim rozpromieniony Dumcio z proboszczem. Zrobiło się ciasno na małym ganeczku.

Celinka zarumieniona — ciemne szafiry jej oczu błyszczały, a uśmiech zabłąkany na ustach mówił o głębiach uczucia wydobywającego się z dna serca przebaczeniem i miłością dla ludzi.

— Tak długo — szepnęła do kuzynki — tak długo.

— Myślałam, że wybiegniesz na spotkanie...

Celinka zarumieniła się po raz drugi.

Weszliśmy. — Pokoiki małe i niskie, drzwi wąskie, lecz za to portjery ciężkie, adamaszkowe, w oknach firanki wspaniałe, meble chociaż nieco spłowiałe i wytarte, znać było że są przeniesione z salonu. Podłoga mimo że froterowana, popaczona z wystającemi sękami. Ciasno było, ale jakoś ciepło i serdecznie. — Uśmiech Celinki rozweselał i rozbrajał. Wydobywająca się dobroć i łagodność z rysów i całego układu jej matki — nakazywały zaufanie i swobodę.

Z pierwszej zaraz rozmowy poznać było można, że gospodarstwo domu — na innym szerszym świecie pędzili życie. Zachowanie się zdradzało na każdym kroku dystynkcję, a zmarszczone czoło i nastroszone brwi pana, świadczyły o dumie i chęci panowania. Spoglądał często na Dumcia i uśmiechał się litośnie, jakoś przykro i smętnie, mimo to, był dla niego uprzedzająco grzecznym. — Grzeczność ta raziła mnie.

Dumcio nie widział uśmiechu, a grzeczność rozumiał, — był zatem w wybornym humorze. Koncepta sypał jak z rękawa — i sam się z nich głośno śmiał. Wtórował mu proboszcz lecz widocznie tylko przez grzeczność.

Podano kawę — Dumcio gwałtownie chciał usiąść obok Celinki, lecz ponieważ Celinka nalewała, zaczął jej pomagać, a wyręczając wiejską dziewczynkę do posługi, sam roznosił nam filiżanki.

— Bardzo to ładnie — mówił pan Pęgowski — gdy młodzież służy damom. Widok ten przypomina mi moją młodość.

Kuzynka spojrzała się na mnie.

— To pewno pan dobrodziej wiesz, jak to miło zaglądać w ładne oczki — kiedy się bierze filiżankę.

Dumcio się rozśmiał lecz sam, nikt mu nie wtórował. Pan Pęgowski milczał, zdaje się, aby się nie skompromitować w obec kuzynki i mnie.

Roznoszenie kawy było skończone. Dumcio przystawił stołek Celince i siadł obok niej — zabawiając ją jak tylko mógł i umiał. A że był pewny, iż ten talent posiadał w wysokim stopniu, rozprawiał, giestykulował, wycierał szajbę, zakładał ją i zaglądał w ładne oczki.

Kuzynka upatrzyła chwilę aby mi szepnąć:

— Celinka siedzi jak na torturach.

Spojrzałem na matkę Celinki. — Była blada, zamyślona, smutna. Na Celinkę spojrzeć nie śmiałem.

(Dokończenie nastąpi.)

SZEKSPIROWSKA HISTORJA TRAGICZNA

O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE

napisał

Włodzimierz Spasowicz.

(Ciąg dalszy.)

Zostaje się tylko Hamlet. Panuje pomiędzy krytykami prawie jednomyślność względem kapitalnej wartości tego arcydzieła. Powszech-

nie przyjęto, że Hamlet odpowiada przejściu przez zenit gwiazdy Szekspirowskiej, że ze wszystkiego co napisał, jestto najgłębsze, przeto nawet ciemne, że tak głębokie, aż niezgruntowane; że w Hamlecie Szekspir podał nietylko ciekawy, bogaty, żywy i całkiem nowożytny, bo nieprzerwanie powtarzający się aż do dzisiaj typ, charakter, ale odgadł najtajniejszą myśl wieku, nietylko swojego wieku ale i wszystkich następnych, aż do dziś dnia; nietylko myśl tych wieków ale i ich chorobę ciężką, nieuleczalną — zwątpienie, które wiarę z duszy wyżarło: przytem zwątpienie, pochodzące nie z usiłowań rozumu, który dochodząc prawdy pod osłonami dogmatów i symbolów, trafił na przerażającą próżnię, ale z pęknięcia serca, z takich jego zawodów, po których nietylko trzeba pozbyć się wszelkiej ufności w dobroć ludzką, ale nawet w sprawiedliwość boską rzec że »*świat wyszedł z karbów,*« *że mężczyźni nie podobają mi się, ani też kobiety, a cały iskrzący gwiazdami firmament jest tylko zaraźliwem zbiorowiskiem wyziewów.* (II, 2). Wszystkie te cechy nie wyczerpują jeszcze Hamleta, jest jeszcze jeden rys główny i panujący. Ten nadwątlony w wierze człowiek cierpi, bo ten kwiat zda mu się dziełem bardzo niedoskonałem, nieboskiem, zczerniałem od gangreny i cuchnącem, cierpi, ale umierając szydzi i szydzi tak, jak później szydził Słowacki, szyderstwem kąsającem aż do jelit. Ten szyderczy śmiech prawie histeryczny, spazmatyczny, aż do stracenia zmysłów, aż do waryacyi, aż do konania, wydany przed trzema prawie wiekami, nie przestaje dźwięczeć nam w uszach do dziś dnia i wstrząsa całym ustrojem naszych nerwów. W tym względzie Szekspir został nie prześcignięty, daleko w tyle pozostali Faust, Rolla Musset'a, Słowacki wygląda jak podrostek. Najbliżej Hamleta, ale zawsze po za nim zostaje chyba jeden Byron.

W życiu i pojedyńczych ludzi i narodów, są chwile lepsze i są chwile gorsze, są tak okropne, że przyszłości nie widać, cały widnokrąg w czarnych chmurach, a żyjącym brak nadziei i poczucia się na siłach, ażeby mocno i wytrwale iść na bój z rozwielmożnionemi potęgami złego. W tych smutnych chwilach jeszcze broń jedna dla nie-bałwochwalców, dla protestujących, napozór błaha — spazmatyczny śmiech Hamletowski, *memento mori* dla złej rzeczywistości, ostrzeżenie, że chociażeśmy słabi, zbyt miękkiego serca, bez hartu w charakterze, ale i ta rzeczywistość nie wieczną, bo jest przejrzana na wskróś w całej ohydzie i nicości, i pogardzona i wyśmiewana, zatem moralnie pokonana, a czynnego pokonania dokażą ludzie późniejsi, może mniej uzdolnieni, ale tężsi i prostsi.

Na to, co wypowiedziałem, stanęła zgoda pomiędzy krytykami, wyosobniająca Hamleta jako arcytwór, wyższy poniekąd ponad wszystkie utwory Szekspirowskie; lecz z samegoż tego położenia panującego Hamleta w teatrze Szekspirowskim, rodziła się pokusa wziąć go za główne źródło do odtworzenia moralnego wizerunku poety, do stawienia domysłu, że z taką miłością odmalowany bohater jest nie kto inny, tylko sam Szekspir, ukryty pod pięknemi ale skażonemi przez melancholią rysami królewicza Danii. Smutek i zwątpienie królewicza były skutkami moralnych cierpień wynikłych z zetknięcia się ze światem. Jeżeli oddać można silnie i potężnie środkami sztuki tylko to, co się przeżyło i czego się osobiście doświadczyło, musiał i Szekspir przechodzić przez ciężkie próby życia, analogiczne, chociażby w niejakiem przybliżeniu z temi, które były udziałem królewicza. Dzieje zupełnie milczą i nie doszukać się w nich zdrady kochanki, żony, przyjaciół, śladów osobistego dramatu we własnem życiu poety. Źródłem cierpień mogło być chyba społeczne położenie Szekspira, dotkliwe upośledzenie, którego doznawał stan aktorski, przesądy towarzyskie, które aktorów stawiły w jednym rzędzie ze sługami i prawie na jednym z owemi *fools*, błaznami na dworach pańskich i królewskich, którzy tak ważną rolę grali w średnich wiekach i w Szekspirowskim repertuarze. Są jakieś tego rodzaju niezbyt wyraźne skargi w lirycznych utworach Szekspira, w jego sonetach. Niektóre sonety, np. 66. są nawet podobne do rozmyślań Hamleta, do jego monologu; „być albo nie być.“ Ztąd powiązanie Sonetów z Hamletem i użycie ich za klucz do otworzenia nietylko sensu ukrytego w Hamlecie, ale i duszy samego Szekspira, w czem się schodzą i Taine, i V. Hugo i nawet Rümelin. Ztąd też konieczność, zanim zajmiemy się wyłącznie księciem Danii, sprawdzenia, jakiego rodzaju jest ten węzeł i jakie w ogóle znaczenie mogą mieć sonety Szekspira przy studyowaniu Hamleta.

Stanowczo twierdzimy, że żadnego. — Mercucyo powiada o Romeo (II, 4); „teraz go sonety Petrarki rozczulają. Laura w porównaniu z jego panią jest poprostu pomywaczką.“ O dwa wieki wcześniejszy Petrarka (1301—1374) był w wielkiej modzie w Anglii za królowej Elżbiety. Jeden ze spółczesnych Szekspirowi pisarzy, Tomasz Nash, twierdzi, że gdyby zamiast pisać dramaty Szekspir wierniej się trzymał ducha Petrarki, stałby się największym swego wieku poetą. Cukrowe sonety, wedle słów Meresa w *Pallais Tamia* (Rzeczpospolita dowcipu 1598), na dwa lata przed Hamletem chodziły po rękach w odpisach. Układając je Szekspir hołdował modzie, naśladował najniepraktyczniejszego z rymopisów. Dziś już ustaliło się zdanie (Koerting: *Petrarca's Leben und Werke.* Leipzig 1878), że Canzoniere Petrarki to najmniej cenne ze wszystkich dzieł wielkiego humanisty, to kwintesencya galanteryi, przedystylowany dowcip w rozmyślaniach o miłości, bez samego uczucia, rzecz błaha i ckliwa pod względem treści, a zalecająca się tylko swoją artystycznie piękną formą. Nikomu z naszych polskich krytyków nie przyszło na myśl szukać rysów-biograficznych dla charakterystyki Mickiewicza w jego sonetach z Laurą, o Laurze, do Laury; dlaczegoż mielibyśmy dochodzić takich-że rysów w cukrowych sonetach Szekspira? Taki to już rodzaj, że materyał rzeźbi się na chłodno a nie przetapia, i że można za pathos często wziąć morał kończący się na misternym żarcie, albo na grze słów, albo na grzecznym komplemencie, jak naprzykład w tym sławnym sonecie 66, w którym poeta pragnąłby pokoju śmierci, *bo go męczy, że wszystko na świecie tak przewrotne, że sztuce milczeć każe władza, że nierozum wyrokuje jak doktor o rozsądku, że prawda uchodzi za głupotę, że »dobro« w kajdanach u stróża »zła« pod kluczem; chciałby już odejść, ale jakże ma drogiego kochanka osamotnionego porzucić...* Właściwa rodzajowi nieszczerość i umówiona w grzecznościach przesada sprawiają to, że wyjść nie możemy z zawikłań, zwlaszcza jeżeli mierzyć będziemy sonety Szekspira naszą miarą, i brać na seryo i dosłownie wszystkie serdeczne wynurzenia się poety.

Z naszego stanowiska jakże dziwnym, niezrozumiałym i nawet potwornym wydać się może przedmiot, któremu poświęcona przeważnie większa część sonetów, oddanie się bez granic młodemu i szlachetnemu przyjacielowi, ubieganie się o jego względy, połączone z zazdrością względem innych, pełzanie, padanie prawie przed nim, nie już pokorne ale pełne uniżoności w wyrazach, zaznaczających różnice stanu i położeń: *Los mię rzucił na ulicę, ztąd i uliczne moje obyczaje (public means — public manners) na moje imię położone piętno (Sonet III) Twoja miłość i litość zetrą znak, wyciśnięty na mojem czole przez pospolitą opinię; czyż dbam czy mię nazywa kto dobrym czy złym, cały świat oprócz ciebie wydaje mi się martwym.* (Sonet 112) *Nie zawsze mogę głośno przyznać się do Ciebie, bobyś się musiał sromać mej wiadomej winy. I ty obdarzyć łaską nie możesz mnie przed ludźmi. Bobyś tem imieniu twemu czci umniejszył.* (36)

W sonecie 26. Szekspir uznaje się *wazalem*, a w 37 *niewolnikiem* (*being slave, my sovereign*) swojego bohatera. Najpiękniejszą perłą pomiędzy temi sonetami jest sonet 29, czuły, strzelisty, w którym powtarza się ten sam motyw. *Gdy upośledzon losem i w oczach ludzi, — Samotny płaczę nad mym stanem wyrzutka (my outcast state), I w niebo głuche biję próżnemi krzykami. Na siebie patrzę i dolę mą przeklinam, Gdy pożądam, bym był jak ów bogatszy w nadzieje, — Albo jak ów urodziwy, albo ów mający przyjaciół, Gdy zazdroszczę tamtemu sztuki, albo celów innemu, Bo najmniej mnie zadowalnia co mam najdroższego; I gdy najbardziej w tych myślach sobą gardzę, Na szczęście wspomnę o Tobie, wtedy z nienacka duch mój jak skowronek dźwięczy u niebios proga, Dość było przypomnienia o twojej drogiej miłości, ażeby mię tak wzbogacić, Że nie pohandlowałbym się na mój stan z królami.*

Cały wdzięk formy ulotnił się w tem prozaicznem tłómaczeniu, została naga myśl ogrzana uczuciem szczerem czy zmyślonem, zapewne mięszanem, z tych dwóch pierwiastków złożonem, w każdym razie uczuciem szczególniejszem i bardzo delikatnem, mającem za przedmiot tajemniczą osobę W. H. *only betterer of these sonnets* (sprawcę ich, jak się wyraził T. Thorp w wydaniu ich r. 1609 sporządzonem pomimo woli autora), zapewne Henryka Wriothesty, hr. Southamptona, który Szekspira do poufałej zażyłości z sobą dopuścił. Uczucie to miłości czy przywiązania lub przyjaźni, we wszystkich do Southamptona albo o Southamptonie pisanych sonetach (a tych jest 126 na 154) jest tak wzniośle, tak delikatnie i szlachetnie stylizowane, że w gruncie musiało być szczere, mimo całą przesadę wyrażenia. Że przesada jest, to pewna; Szekspir pochlebia i kadzi, Szekspir z gracyą ściele się do nóżek swego pryncypała nie tylko, że tak rzekę w przenośnym sensie przyodziewa liberyą swego dobrodzieja, jest jego wiernym uniżonym sługą, otwarcie w obec wszystkich i jak naturalniej w świecie. Było to wówczas w porządku rzeczy, poezya, sztuka, albo służyła wielkim panom za igraszkę i zabawę, albo się wysługiwała u nich w przedpokojach i wdzięczyła się do nich, gdy jej rzucano z ich stołu okruchy.

I dzisiaj zdarzają się poeci pieczeniarze, poeci dependenci, ale i mało ich i sromają się przyznać, że w takim są stosunku; więc unika-

ją wszelkich pozorów, ażeby nie dać powodu do myślenia, że nie są dumni, niezależni i równi najpierwszym i dbają o swoję godność jeżeli nie człowieczą w ogóle, to przynajmniej profesyonalną. Ta podejrzliwa duma, ta drażliwa do najwyższego stopnia hardość śpiewaka, która dała możność Słowackiemu powiedzieć, że *płaszcz na moim duchu był niewyżebrany*« i Kondratowiczowi: »*ja przed nikim nie zniżę ani piersi, ni głowy.*« Są to uczucia całkiem nowożytne, wyrosłe ledwo może wczora na gruncie równości demokratycznej i przy warunkach, przy których poezya i wogóle literatura mogły się stać samoistną potęgą i środkami bezpośredniej władzy i panowania społeczeństwa za pomocą druku i gazet.

Nie miejmyż za złe Szekspirowi, że tak dumnym nie mógł być, a na obronę jego przytoczymy jeszcze, że wielkaż jest różnica wieków, i położenia, że Anglia Szekspirowska była choć monarchiczna, ale jeszcze mocno feudalna, że poszanowanie dla urodzenia i tytułu było głębiej w tym kraju niż gdziekolwiek wkorzenione, że ci butni panowie nie zeszli jeszcze w te czasy na dworaków, a nie rzadki z nich za ostre stawienie się i słowa prawdy bez ogródki powiedziane, za ofuknięcie się, za dobycie szpady poszedł do Toweru i na rusztowanie, nakoniec, że to był czas najlepszy Renesansu. Wielcy panowie byli prawie wszyscy znawcy i artyści, więc pospolitowali się z aktorami na scenie i za kulisami, mieli wspólne upodobania, jednako wy- biony smak, pojęcia i służyli wraz z artysta- i jednym bóstwom, sztuce i piękności. Poeta wielkim panem obcowali w sztuce, ale przed wiatem poeta uznawał wielką różnicę stanu, wyrazach, których nie trzeba brać dosłownie, k nie trzeba brać dosłownie wyrazów: naj- ższy sługa, albo upadam do nóg. Wła- ie dlatego, że te wyrazy przesadzone, nie- odobna ich używać, jak to czynią zwykle ografowie Szekspira, na dowód, że Szekspir ył, nawet doznawszy powodzenia, skarżącym ę na los swój i na stan pisarski i aktorski, wyrzutkiem społeczeństwa, paryasem, wstydzącym się stygmatów wypiętnowanych na czole podłą i pogardzoną powszechnie profesyą. Teatr Szekspirowski nie był właściwie narodowym teatrem, to jest takim, któryby obchodził i pociągał do siebie wszystkie stany. Teatr cierpiany był przez władzę królewską, nie lubiany przez kościół i mocno nienawidziany przez kalwińskim duchem przejęte stany średnie, handlarzy, urzędników. Najgorszym nieprzyjacielem teatru była gmina londyńska, która go wycisnęła het poza City na przedmieścia. Ani kobieta nie występowała na scenie, ani porządna kobieta ważyła się odwiedzić teatr bez maski. Widzowie składali się głównie z dwóch pierwiastków; arystokracyi i bardzo mięszanego gminu. Ztąd i to pomieszanie w stylu ulicznego z modnym, wyrafinowanym, i ten duch mocno arystokratyczny, którym cały repertuar przejęty. Teatra miały powodzenie, zbierały grube pieniądze, liczba ich rosła do 5 do 10; z rozrastaniem się ich powstała nowa klasa widzów, nie uliczna, ale wpływowa: pisarze i krytycy teatralni. Do ich gustu i poglądów powinien był się Szekspir głównie stosować i z niemi się rachować.

Rozkwit sztuki był bardzo krótki, dopóki jej nie wyparły z życia kwestye i spory teologiczne, zmieniwszy wszystkie warunki istnienia teatru, zrobiwszy go na długi czas niemożebnym. Gdyby żył o kilkadziesiąt lat później, Szekspir znalazłby się między dwoma jednako mu przeciwnemi obozami, gładkim cynizmem kawalerów, podtrzymującym niepopularny despotyzm z bożej łaski, a ponurym purytanizmem, biorącym wolę ludzką w kluby żelazne, i nie cierpiącym żartu, swobody, wesołego śmiechu. Słusznie zauważył Dowden, że naszemu poecie nie podobna byłoby się rozwinąć, ani jako człowiekowi, ani jako sztukmistrzowi, a chyba tylko wyrzec przekleństwo umierającego Merkucya (R. i J. III. *Bierz licho oba wasze domy! Kaduk ich zabierz!*)

Czasy Szekspira były o wiele od Kromwelowskich lepsze, namiętności teologiczne jeszcze się nie rozogniły, ruch purytański nurtował gdzieś w głębi społeczeństwa, po za obrębem postrzeżeń Szekspira i nawet może po za obrębem jego świadomości. Ci ludzie biblijni, zbawieniem własnych dusz zajęci i stroniący od teatru, musieli mu być całkiem obojętni, on się z niemi nigdzie nie spotykał, ciężaru ich potępienia za swoje zatrudnienie nie doświadczył. Szekspir opierał się głównie o wyższą arystokracyę, ciężar doświadczanej przezeń protekcyi od najwykształceńszych z pomiędzy tych magnatów, widocznie mu nie ciężył, czego liczne dowody w sonetach. Do ich grona wcisnąć się nie mógł i nie pragnął. Wszakże mniej niż gdziekolwiek ta wyższa szlachta była kastą, wyrastała ona z ziemiaństwa, a ziemiaństwo stało dla każdego nabywcy gruntu otworem, i sam Szekspir syt chwały skończył na tem, że stał się dostatnim ziemianinem i nawet szlachcicem herbowym. W rzeczach sztuki, w zamianie myśli autor-aktor stał na równej stopie z mecenasami sztuki dramatycznej, na stanowisku, które humorystycznie określał napis na globusie w Southwark: *totus mundus agit histrionem.* Porównajmy z tym napisem dumny ustęp „w Hamlecie“ o aktorach (II 2); »*oni — to streszczona i krótka kronika czasu. Lepiej ci mieć zły nagrobek po śmierci, niż złe ich świadectwo za życia.*«

Tracimy więc nadzieję, by za pomocą sonetów znaleźć klucz autobiograficzny do Hamleta; nie wiemy, czy przeszedł kiedykolwiek Szekspir, trapiony losem przeciwnym, przez okres czarnej melancholii; podobnej do tej, w którą się pogrąża książę duński. Zapewne przebył, bo to usposobienie do ponurego zwątpienia było już w powietrzu, i zatruwało istnienie wielu szlachetnych jednostek, ażeby się następnie powszechniejszem stawać. Wszakże trudno zaprzeczyć, że wtedy, gdy pisał Hamleta, Szekspir już się zupełnie oddzielił od tego, co wycierpiał i dalekie, blade tylko podobieństwo osobiście przecierpianego wysnuł z utworzonego przez się charakteru, nie mającego nic wspólnego z jego własnym, owszem odznaczającego się chyba różnemi przeciwieństwy. Pisarz, który sam się w dziełach swoich portretuje, zwykł siebie samego malować w rozmaitych położeniach po razy kilka; ale Hamlet jest jedyny w swoim rodzaju i nie ma żadnych innych osób, któreby miały z nim chociażby odległe podobieństwo familijne. Więc miał zapewne czarne myśli sam Szekspir, ale czarne myśli Hamletowe są ich tak odległem i tak zupełnem przerobieniem, że Hamlet nie dostarczy ani jednego pewnego rysu do moralnej charakterystyki Szekspira.

Taki jest bardzo szczupły, bardzo ubogi i całkiem ujemny rezultat studyów nad biograficznemi danemi i innemi dziełami Szekspira. Lepiej zaiste przyznać się, że nic nie wiemy o osobie autora, o przymiotach i kolejach jego duszy i składać wszystko, co jest wielkie w jego dziełach, na karb genialnej jego domyślności, przechodzącej wszystkie rachuby krytyki, aniżeli jako portret jego podawać obraz z czekolady, lub cukru zadowolonego z siebie filistra, umiarkowanego, powściągliwego, ale ślęczącego jak lichwiarz nad swojemi książkami rachunkowemi, o marnościach świata rozprawiającego tylko na scenie, zresztą ceniącego świat, jego wygódki i honory. *Praktyczność i rachunkowość Szekspira,* jak słusznie uważa Else (222) *stanowić zawsze będą Achillesową piętę w jego charakterze,* i mimo całą masę nagromadzonych dowodów, przebijać się i dobywać na wierzch będzie przypuszczenie o Szekspirze rozhukanym rumaku, o Szekspirze gwałtownym i namiętnym, o huraganach, które przez tę duszę przeszły, zanim się w dziełach odbiły, ale dla nas przepadły, bo nie zostały zanotowane. Lepiej przyznać się do wielkiej luki w wiadomości, aniżeli bawić się w wyobrażenia chociaż z faktów wysnute, ale najprawdopodobniej jednostronne, a więc nieprawdziwe.

Wypada więc nam już całkiem rozstać się z poetą i objąć całe jego dzieło rozważając je odrębnie, jakby dzieło niewiadomego autora, bez dociekania jego osoby, lecz tylko pod względem głównego założenia i budowy dramatu, stanowiącego treść jego właściwości i rozwoju charakterów. Ta analiza zajmie nas później, ustęp zaś ten zamkniemy kilku pobieżnemi, przedwstępnemi uwagami, które potrzebne są, ażeby bez żadnej już potem przerwy wejść *in medias res,* przystąpić wprost do istoty dzieła odtrąciwszy wszystko, co podrzędne i postronne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

USQUE AD FINEM

Improwizacja

Władysława Syrokomli

Po cudzego świata szerokich ziemicach,
Choć bieda i smutek tułacza naznaczą,
Żyć z dumą na czole, z pogardą na licach,
Mir zrobić z nadzieją — a rozdział z rozpaczą,
O cześć — ni o litość u obcych nie prosić,
A kraj swój kochać i myślą i czynem,
Brzemię męczeństwa bez sarkania znosić
Usque ad finem!

Ojczyznę i honor nad wszystko miłować,
Do Boga swych ojców nieść modły codzienne,
A cnoty kraju wśród duszy chodować,
Jak wonne fiołki — jak perły promienne,
Pocieszać się wzajem — żyć jedni dla drugich,
Jak w jednej rodzinie syn się kocha z synem
I stąpać po drogach ciernistych i długich
Usque ad finem!

Rozważać głęboko o błędach przeszłości,
A przyszłość budować świetniejszą i trwalszą.
A radzić spokojnie, bez swarów i złości,
By jakiś plon ostał — na epokę dalszą,
Poprawiać, nie niszczyć — i nie plwać wzgardliwie,
Na to, co niegdyś wieńczono wawrzynem,
Drogą postępu iść ku ojców niwie,
Usque ad finem!

To dziś nasz żywot — to dziś nasza dola.
Już wielu nam braci posnęło w mogiłach;
Lecz w tych co zostali jest miłość i wola,
I nie brak im jeszcze na męztwie i siłach.
O Boże wielki! zbłąkanym śród fali
Co jesteś otuchą — zbawieniem jedynem,
Dopomóż byśmy w tym ślubie wytrwali
Usque ad finem!

Kronika Tygodniowa.

Doszliśmy już do takiego rozkwitu zabaw karnawałowych, że niepodobna po godzinie dziesiątej przejść którą-bądź ulicą, żeby z kilku miejsc naraz nie dolatywały nas jęki rozbijanych fortepianów i gromkie tupania holupców mazurowych. Już to trzeba przyznać młodzieży naszej, że w tych wypadkach butów nie żałuje, a że one pomimo tego mają całe podeszwy, to należy się prawdziwe uznanie sumienności lwowskich majstrów szewskiego kunsztu. Nad ranem znowu a często już w dniu białym, ciągną te marudery tańcujące jak zmokłe kury do domu, ciągną podtrzymując obszarpane ogony sukien z tak nieszczęśliwą miną, że poczciwy pracujący plebs lwowski tylko otwiera usta, przypatrując się rozpaczy niedobitków karnawałowych.

Dla kronikarzy dzienników, takie zapusty, — to woda na młyn. Co dzień mogą mieć po kilka gotowiuteńkich artykułów do opisu staropolskiego przyjęcia, staropolskiej gościnności, nowo-francuskich sukien z kwiatami i brylantowemi oznakami. Mogą mianować królowe i vice-królowe, a nawet podać ku wiecznej pamięci nazwiska mężów prowadzących mazura. Tak jest, czytelnicy, jest to zaszczyt nie lada być komendantem tej motylkowatej lekkiej armii idącej na zdobycie tego co jest najdroższe człowiekowi — to jest serc odzianych we fraki... Pókiśmy mieli inne armie, drukowaliśmy nazwiska wodzów, ich czyny na polu bitwy, bohaterstwo i odwagę — dziś jaka armia, tacy i dowódzcy; a jeżeli historja przeniesie ich nazwiska (jako drukowane) do potomności, która powtarzać je będzie ze czcią i wzruszeniem, dziennikarstwo nasze spełni swój publiczny obowiązek.

Starzy ludzie, a zawsze zwykliśmy powoływać się na świadectwo najstarszych nawet gdy idzie o mróz wielki lub śnieżną zawieruchę, nie pamiętają żeby się tak kiedy ochoczo bawiono jak w tym roku, lecz przepowiadają oni zarazem, że to zwykle tak bywa przed burzą. Otóż my protestujemy przeciw takim proroctwom, opierając się na zapewnieniu prowodyrów naszych politycznych, że jak Galicja Galicją, nie mieliśmy jeszcze tak szczęśliwych, jasnych i tryumfujących czasów. Utrzymują oni, że byłoby to największą klęską dla nas żądać coś od Rządu dla kraju, gdyż mogłoby nastąpić przeładowanie szczęśliwości, a ztąd niestrawność polityczna, z której tylko mógłby nas Kraków wyleczyć jako posiadający na Uniwersytecie fakultet medyczny. Zdaje się nawet, że dla tej prostej przyczyny, już jako antidot na wszelkie choroby polityczne we Lwowie, odmówiono nam tegoż fakultetu. Człowiek jak wie, że nie ma się gdzie leczyć, unika choroby, zachowuje dyetę a wystrzega się nawet obżarstwa politycznego, ku czemu stolica Galicji zawsze miała nieprzepartą skłonność. W Krakowie co innego; tam ludzie byli zawsze umiarkowanego temperamentu, — mieli gotową straż pożarną, mają Wisłę, w której zimnej wody nie brakuje, więc choć przyszła im czasami ochota pofolgować swej krewkości, to dosyć było wytoczyć na rynek parę sikawek i zacząć poruszać rękojeścią ssąco-tłoczącej pompy, a zaraz rozsądek brał górę nad krwią gorącą. Ale od czasu gdy pompierów zabrakło, bo wszystko to wywędrowało gasić centralistyczne zapędy, dobroduszny Kraków zaczyna się buntować. Wybrał prezydenta na złość Stańczykom i gotów wybrać nawet p. Machalskiego na posła do rady Państwa, nie ogłosiwszy wprzód wezwania do wyborców w jedynym monitorze krakowskim. Okoliczność ta i ten duch niesforności publicznej, powinien dać wiele do myślenia partji konserwatywnej. Pokazuje się, że Krakowianie już pomp się nie boją, trzeba zatem sprowadzać napowrót kotów i tę rewolucję mysią zażegnać.

Sezon pracy nóg (czyli jak powiada autor historji naturalnej dla szkół wydziałowych *odnóż*) kończy swoje panowanie w przyszłym tygodniu, więc z kolei rzeczy przychodzi sezon pracy głów, do którego dały początek różne walne zebrania różnych stowarzyszeń lwowskich, a między innemi Towarzystwo kredytowe Ziemskie. Ze sprawozdania jego dowiedzieliśmy się przedewszystkiem o wysoko rozwiniętych uczuciach miłości bliźniego w tej instytucji... Toż ono połowę wszystkich dochodów swoich oddaje w formie podatków, opłat, stempli itp. na ogólne potrzeby państwa. I jeszcze ci centraliści wiedeńscy śmią przekomarzać się z nami i zarzucać brak patrjotyzmu austrjackiego. Pół na pół dzielić się dochodami, to jeszcze mało? A przecież sam Chrystus Pan mówiąc: „kochaj bliźniego twego jak siebie samego,“ nie żądał więcej! Doprawdy jestem oburzony taką niesprawiedliwością, a ten pan Herbst lekceważący przeprosiny pana Grocholskiego już mię do passji doprowadza... Ależ to najoczywistszy brak wychowania, brak znajomości wszelkich form towarzyskich... Sam prezes koła szuka go umyślnie po korytarzach, żeby się usprawiedliwić — a on jeszcze się dąsa... I tacy ludzie chcą nas cywilizować.

Wprzód nim Towarzystwo kredytowe zaczęło robić własny rachunek sumienia, Towarzystwo politechniczne we Lwowie odbyło walne zgromadzenie w dniu 29. stycznia. Właśnie mamy przed sobą Nr. 2 „Dźwigni“, organu tegoż Towarzystwa, i nie możemy się narozkoszować kwiecistością stylu, jasnością i entuzjazmem wyrażeń sprawozdania *z moralnego majątku Towarzystwa.* Chodziło o to, aby oddać pod zawyrokowanie, „czy i o ile Towarzystwo działalność swoją skutecznie rozwijało i co uczynić wypada, aby w przyszłości nie tylko zachowanem było to, co myśl i mozolna praca mężów przez kilka lat stworzyły, lecz aby także nagromadzony kapitał (ma się rozumieć moralny) przynosił procenta, z którychby z czasem nowy zapas ku chwale członków, a pożytkowi kraju powstać mogły.“

Następnie sprawozdawca mówiąc o przybyciu w historji Towarzystwa nowej karty, o sile asymilacji, o poczuciu obowiązków, jakie na jego sztandarze jest wypisane, o warunku duchowego rozwoju jednostek zbliżonych idealnym interesem, zapowiada wykazanie trudności, jakie Towarzystwo w ostatnim roku pokonało.

Otóż zaczynając od głowy, t. j. zarządu, dowiadujemy się, że ten wybrał z pomiędzy siebie sekretarza, zastępcę sekretarza i skarbnika. — To była zdaje się podług zapowiedzenia sprawozdania, pierwsza trudność.

Dalej Zarząd odbył 14 posiedzeń, z tych 2 nadzwyczajne. Zasięgał zdania ośmiu komisji, z których dwie żadnych wniosków nie przedstawiły. Wniósł kilka petycyj do korporacyj parlamentarnych, Zarządowi udało się być pomocnym w wynalezieniu zajęcia dla jednego członka. Miał 520 spraw do załatwienia, a korespondencje prezydjum zarządu były tak rozgałęzione, że w ostatnich trzech miesiącach, pomimo wielkiego natężenia, *zaledwie ten nawał materjału pokonać mogło.*

W Rumunji Towarzystwo zastąpione było przez 18 reprezentantów, których wpływom i zabiegom zawdzięczyć należy przystąpienie nowych członków i czuwanie nad regularnem uiszczaniem składek. Cześć przeto mężom, (powiada sprawozdanie), których bezinteresowana praca *w wysokim stopniu* do rozwoju Towarzystwa się przyczynia.

Przebiegając dalej sprawozdanie, napróżno szukamy tych zapowiedzianych trudności, pokonywanych przez Zarząd, a za to znajdujemy tak wiele kwiecistych frazesów, tyle poetycznego polotu, iż rzecywiście pokonanie ich musiało być najważniejszą pracą sprawozdawcy. W końcu Zarząd przyznając się, iż nic nowego nie stworzył, oddaje klejnot mu powierzony przyszłemu Zarządowi z taką dedykacją:

„Niechaj gorliwość wasza i dbałość o przyszłość idei (?) także w nadchodzącym roku, będzie nieodstępnym towarzyszem każdego usiłowania Towarzystwa; niechaj myśl zrodzi nowe czyny, a wtedy drzewko przed czterema laty zaszczepione, przybierze na sile, a rozłożyste gałęzie jego utworzą cień, który posłuży za schronienie dla jednostek oderwanych srogą walką o byt, od życia duchowego.“

Gdybyśmy i szersza publiczność nasza nie znali tyle użytecznej i znanej pracy Towarzystwa Politechnicznego, proszę was, cobyśmy się z podobnego sprawozdania mogli dowiedzieć, i coby nam wypadło trzymać o tem drzewku zaszczepionem przed czterma laty, które zamiast owoców, jakich od każdego szczepionego drzewa spodziewać się można — obiecuje cień, pod którym oderwane jednostki mają się chronić. Jeżeli dziś, szanowny sprawozdawca pisał tę bombę frazesową przy blasku słonecznego światła, czegoż można się spodziewać, gdy rozłożyste gałęzie rzucą cień na jego pióro... Pytamy zarząd Towarzystwa na co te fajerwerki słów i dla kogo?

Czerwona księga.

Szkic Jana Scherra.

(Dokończenie).

III.

Księga ta stała się w samej rzeczy przedmiotem ogólnego oburzenia. Zaklejone karty na których pomieszczone były potworne sumy, roztrwonione przez panią Dubarry, nie zmniejszyły bynajmniej oburzenia, gdyż niefortunne gospodarstwo, prowadzone za sumy państwowe, za panowania „cnotliwego“ i oszczędnego Ludwika XVI, dostatecznym było powodem do tego, aby za pomocą przewrotu rewolucji przerwać dni istnienia podobnej monarchji.

Chcąc być jednak sprawiedliwym, wypada powiedzieć, że ogólna suma tajnych wydatków króla pomieszczonych w Księdze Czerwonej, nie przedstawia jeszcze stosunkowo zbyt wy-

górowanej cyfry. 1774 do 1780 wynosiły takowe ogółowo nie więcej nad 227,985.517 liwrów, przyczem w sumie tej figurowały, jak o tem wspomniano już wyżej, niektóre nagrody pieniężne dla urzędników *Affaires de finances, Affaires étrangères et postes).* Ogół oburzał się jednak na to, że tak znaczne sumy trwoniono na wydawanie nagród ludziom niegodnym.

Przed innemi figurowały na liście nazwiska obu braci króla, hrabiego Prowancji i hrabiego Artois. Państwo płaciło im rocznie 8,240.000 liwrów, dając im przytem nader przyzwoite utrzymanie. Nie zadawalniali się oni tem widocznie, gdyż, jak świadczy notata w Księdze Czerwonej, hrabia Artois oprócz otrzymywanej pensji, wybrał z kasy państwa, za jednego ministerjum Calonne'a 14,550.00 liwrów, na pokrycie olbrzymich swych długów. Calonne, przedstawiając wydatek ten do zatwierdzenia królowi, oświadczył, że suma ta niezbędną jest dla „uspokojenia księcia“ i Ludwik XVI nie zawahał się wydrzeć głodnemu narodowi swemu 14 milionów dla „spokoju“ swego brata. „Filozof“ i „uczony,“ hrabia Prowancji oprócz pensji rocznej, otrzymał 13,824.000 liwrów z kasy państwa. Połogi księżniczek kosztowały również nie mało. Hrabina Artois, porodziwszy księcia Berry, otrzymała 24.078 liwrów i następnie, po upływie lat siedmiu, »*pour son accouchement*« jeszcze 24.000 liwrów; oprócz tego otrzymała ona 14 077 liwrów jako „simple cadeau“.

W rozdziale »*Dons et gratifications*« spotykamy różnego rodzaju wydatki. Tak np. p. Croixmart wypłacono 50.000 liwrów, ażeby mu „dać możność zakupienia majętności *Voisin.*« Prefekt policji Sartin otrzymał 20.000 na „zapłacenie długów“, Lamoignon 200.000, pani Morena 166.000 liwrów. Hrabinie Albany jako żonie księcia Edwarda-Karola-Stuarta, płacono rocznie 60.000 liwrów! Książe Polignac, w podarunku na kupno majętności ziemskiej, otrzymał z kasy państwa 1,200.000 liw. Księciu temu płacono prócz tego 120.000 liw. rocznej pensji. Różnym członkom rodziny Polignac płacono ogółem więcej niż 700.000 liw. rocznej pensji.

Oddział pensji nosił na sobie niezwykłą, bajeczną niemal cechę. Książęta krwi, nagradzani bez liku majątkami i posiadłościami różnego rodzaju, nie wstydzili się brać prócz tego pensje, których wysokość dochodziła do 2,550.000 liwrów. Niejaki Degalois de-la-Tour otrzymywał trzy pensje, które wynosiły razem 22.720 liwrów rocznie; pierwszą pobierał jako „pierwszy prezydent i intendent,“ drugą jako „intendent i pierwszy prezydent“ i wreszcie trzecią »*pour les mêmes considérations.*« Markizowi d'Otichamps wyznaczono cztery pensje: pierwszą za „usługi, okazane przez jego ojca,“ drugą za „toż samo,“ trzecią i czwartą również za „toż samo.“ Pewien książę niemiecki pobierał również 4 pensje: pierwszą za „zasługi położone przezeń w randze pułkownika,“ drugą i trzecią jako pułkownik“ i wreszcie czwartą »*pour ses services comme mon colonel.*« Adwokat Joly de Fleury otrzymywał dożywotnią rentę w sumie 17.000 liw. za to, że zajęcia swe ustąpił synowi swemu.“ Hrabina d'Ossonne, dama dworu królowej, otrzymywała 20,000 liwrów pensji. Fryzjerowi Ducrot wyznaczono 700 liwrów dożywotnej renty za to, że „fryzował maleńką księżniczkę, córkę hrabiego Artois, która umarła przedtem, nim włosy na główce jej wyrosły.

Pomiędzy osobistościami, pobierającemi pensje ze skarbu państwa, zdarzały się i takie, które figurowały w Czerwonej Księdze pod własnemi nazwiskami, a następnie pod nazwiskami swych żon, synów, córek, braci i sióstr. Są i takie jak np. margrabina de-la-Force, która od dawien dawna umarła i pochowaną została, a mimo to w niewytłómaczony sposób wciąż jeszcze pobierała wyznaczoną jej pensję. Z jakim bezwstydem ministrowie czerpali z kasy państwa, za dowód tego posłużyć może przykład marszałka i ministra wojny, de Segura. Pomimo iż król obsypał go dobrodziejstwami i wyznaczył mu 98 622 liwrów rocznej pensji, człowiek ten miał czoło prosić jakiegoś księcia o 60.000 liwrów pensji i 15.000 liwrów dla swych dzieci.

W tento sposób za panowania „oszczędnego“ Ludwika XVI rozporządzano sumami, stanowiącemi własność państwa. Jeżeli porównać sumy jakie Marja Antonina trwoniła rocznie na modne fatałaszki i zabawy, z umiarkowanemi cyframi w dziale „wsparć i jałmużny,“ niezbyt się chce wówczas wierzyć w tak okrzyczane „miłosierdzie“ Ludwika XVI i jego żony. Wydatki osobiste króla i królowej w 1789 r. wynosiły rocznie sumę 25 milionów...

Wzrok ciekawych umiał zajrzeć i do kart zaklejonych, na których figurowały sumy roztrwonione przez Ludwika XV. Oto np. kiedy Dubarry objęła „urząd“ pierwszej metresy króla, pewna dama, imieniem Katarzyna de Bearne, ofiarowała się „zainstalować ją oficjalnie na tym urzędzie“ i za to otrzymała 20.000 liwrów ro cznie.

W obec tego trudno się dziwić, że Francuzi odznaczający się po wszystkie czasy zamiłowaniem ostateczności, żyjący między buntem i niewolnictwem, między podłością i sławą, za te ohydne czyny pragnęli nasycić się zemstą. Terroryzm 1792—94 roku napisał krwawy komentarz do Czerwonej Księgi 1790 r.

Przegląd literacki.

«Nowe idee» przez Leopolda Bresson. («Idées modernes». Cosmologie-Sociologie, par Leopold Bresson. Paris. Reinwald libraire 1881).

Jestto znakomitą zdobyczą najnowszych czasów, że filozofja uwalniając się co raz więcej z więzów rutyny i szkolnictwa, z mglistych wyżyn abstrakcyjnej spekulacji schodzi na twarde pole rzeczywistości, doświadczenia i praktyki, i że się stara ostatnie wyniki swych badań ogłaszać w sposób przystępny i łatwy całej publiczności, nie wikłając tego niezrozumiałą mową erudycji, tysiącznych frazesów *terminis technicis.*

Owocem tych zdobyczy jest najnowsze dzieło Bresson'a p. n „Idées modernes“ Cosmologie-Sociologie. Autor nie ma wcale zamiaru wystąpić z czemś nowem zupełnie, nie stwarza wcale jakiegoś nowego systemu filozoficznego, któryby miał wszystkie inne prześcignąć, a żadnego nie uznawać, lecz zadowala się zestawieniem ostatnich wyników badań na polu socjologji i kosmologji, w sposób tak jasny i zrozumiały, że o tem by pewno nie powiedział był Voltaire: „ce n'est pas clair, donc ce n'est pas français.“ Nie tylko te umiejętności, które się opierają na doświadczeniu i spostrzeżeniu, w ostatnich pięćdziesięciu latach wskutek zrobionych odkryć, nowych zjawisk i nowych praw, znacznie się naprzód posunęły, lecz i filozofja w ścisłem znaczeniu znaczne zrobiła postępy i przez pozytywizm stała się nauką wcale innego sposobu i kroju. Bresson śledzi właśnie te pojawy nowych myśli, w ich najróżnorodniejszych fazach, trzymając się zarazem zdala od wszelkiego metafizycznego marzycielstwa, i tylko te prawdy i zasady uznając, które dostateczną ilością dowodów poparte, jako pewne, stałe i niewzruszone się przedstawiają.

Miał więc prawo na dziele swojem położyć motto z książki Montaign'a: „Ceci est un livre de bonne foi“.

Na każdem miejscu występuje Bresson jako zwolennik i uczeń szkoły Augusta Comte'a, Littré'go i Herberta Spencera. Układając bilans dzisiejszej wiedzy filozoficznej, zostawia zupełnie nietknięte pole religji i wiary, jako z nią nic wspólnego nie mające. Tak zwanych transcedentalnych pytań, jak o pochodzeniu i przyczynie Najwyższej Istoty, o istocie, początku i końcu wszechrzeczy, nawet nie porusza. Nie żąda też żadnego światła nadprzyrodzonego na wytłumaczenie przyrodzonych przyczyn. A jednak z pomocą ściśle naukowych badań, i wyłącznego zastosowania metody indukcyjnej dochodzi do wielu rezultatów. Spekulatywne marzycielstwo, zapomniane już fantazji dziecię, zastąpionem jest zupełnie owem „dzikiem i strasznem“ dziecięciem, wolnego od przesądów badania pozytywnej wiedzy. O »*idées préconçues*« już ani śladu.

Dwa główne rozdziały książki Bresson'a, kosmologja i socjologja schodzą się w tym dziele razem o tyle, że pierwsza jest konieczną podstawą, basis, drugiej umiejętności. Naprzód charakteryzuje autor w krótkich, ostrych a jasnych obrazach stan obecny nauk przyrodzonych w ścisłem znaczeniu, zaczem rozwija w ożywionym tonie trzymanej dysertacji, historyczny rozwój ludzkiego rodu, i wyrabiające się z biegiem czasu instytucje, obyczaje i wierzenia, omawia najważniejsze społeczne kwestje obecnej chwili i wynurza, mówiąc o przyszłości, to pełne nadziei przekonanie, oparte na naukowych danych, że z czasem pierwotny typ człowieka, jako „jednostki burzącej“ zupełnie zaginie. Nie zna on i znać nie chce żadnych gwałtownych wstrząśnień i zaburzeń, do rewolucji nigdy apelować nie będzie, bo dlań jest wiarą spełnienie tego ideału szczytnego, że ludzkość sama drogą powolnego rozwoju i samopoznania, drogą nauki i postępu zupełną ewolucję sprowadzi.

Nie zamykając świątyń wiary Bresson otwiera podwoje do świątyni wiedzy. „Primo vivere, deinde philosophari“ może o sobie powiedzieć. Lecz i jego filozofja ma cel praktyczny; dąży do polepszenia bytu umysłowego, moralnego i materjalnego ludzkości. A prawdziwą zasługą jego będzie, że podając szerszej publiczności kompedjum najrozmaitszych ostatnich wyników na polu badań filozoficznych nie wzbija się w nieprzystępne wyżyny nauki, ale tych, którzy niżej stoją porywa i podnosi.

W. R. L.

TEATR.

Na naszej scenie zapanowała obecnie epoka benefisów i przedstawień na cele dobroczynne. Każdy, czy to benefisant, czy to instytucja, szukająca na tej drodze pomnożenia swych fundu-

szów, stara się urokiem nowości zgromadzić w teatrze jak najliczniejszą publiczność, to też ostatnimi czasy, dzięki tak ożywionej konkurencji, ujrzeliśmy kilka sztuk jużto całkiem nowych, jużto oddawna nie granych. W ten sposób przesunęły się przez scenę z nowych sztuk oryginalnych Gröbera *Potęga modlitwy*, Mellerowej wyborne *Fałszywe blaski*, Urbańskiego *Arlekin*, Kaszewskiego *Sztuka i pieniądz* a wreszcie A. Abrahamowicza *Inserat;* z wznowionych zaś *Sierota z Lowood*, *Fernanda* i Szyllerowska tragedja, dokończona przez Laubego, *Dymitr Samozwaniec*. O tej ostatniej sztuce, odegranej 25 b. m. na benefis p. Zboińskiego, zdamy sprawę w najbliższym numerze naszego pisma; dziś natomiast zamierzamy wyłącznie pomówić o ostatniej z cyklu wyżej nazwanych nowych sztuk oryginalnych.

P. Adolf Abrahamowicz, autor rzeczonej jednoaktowej komedji p. n. *Inserat*, znany już jest naszej publiczności z kilku dawniejszych próbek dramatycznych. Przedostatnia z nich p. n. *Dwie Teściowe*, komedyjka wystawiona zeszłego roku, znalazła nawet wcale przychylne przyjęcie ze strony krytyki miejscowej. O ostatnim jednak utworze nie możemy się równie przychylnie wyrazić, pomimo że publiczność częstymi wybuchami śmiechu i oklaskami kilkakrotnie manifestowała wśród przedstawienia swoje zadowolenie. Niestety, recenzent musi czasami do sztuki odmienną od powszedniej przykładać miarę, a wedle tej to miary pokazuje się, że *Inserat* stoi znacznie niżej od poprzedzającego utworu tegoż autora.

Znaną to rzeczą, że w lekkich bluetkach podobnego rodzaju tem trudniejsze bywa wykonanie, czem szczuplejszy jest jej temat; dziś jesteśmy już na tem polu tak popsuci przez Francuzów, że w owem drobiazgowem egzelowaniu szczegółików domagamy się albo misternego djalogu Paillerona, albo wykwintnego dowcipu Musseta, albo nareszcie skończonej rutyny w układaniu scenicznych efektów. Współzawodnictwo na tem polu — jak widzimy — nie łatwe, to też i nasz autor nie powinien się tem zbytecznie trapić, jeśli nie wyszedł z niego zupełnie obronną ręką.

Kardynalną wadą sztuki p Abrahamowicza jest zbyt przejrzysty jej rysunek. Już od pierwszej chwili zgadujemy cały przebieg i ostateczny wynik fabuły, co też od samego początku wpływa na zobojętnienie widza, tak dalece, że chwilami z współczuciem patrzy na owe figurki na scenie, usiłujące jeszcze zawsze *par force* się oszukiwać, podczas kiedy widz już dawno zdał sobie sprawę ze wszystkiego, co ma nastąpić. Sytuacyj komicznych, wynikających już z samej techniki sztuki, nie widzimy w niniejszej komedyjce, wyjąwszy scenę nieporozumienia między Radudyńskim a Pedałowiczem; autor zatem zmuszony jest szukać komicznych efektów w przeprowadzeniu konwersacji. Ale i tu chybił, mieszcząc główny arsenał wesołych konceptów — w monologach. Ta droga, jak łatwo się domyśleć — musi koniecznie doprowadzać do znacznych dygressyj, bo autor bywa częstokroć zniewolony bez najmniejszej potrzeby stwarzać dopiero umyślną sposobność do zaaplikowania tego lub owego dowcipu. Razi to szczególnie w przedostatniej scenie, kiedy obydwaj ojcowie zaczynają, nie wiadomo w jakiej intencji opowiadać sobie dzieje swoich oświadczyn *anno quondam*. Podoba to się nieraz w czytaniu, ale fatalnie rozprzęga całość na scenie. Jak owych kilka zbytecznych scen, podobnie mogłyby też odpaść, a raczej odpadłyby same przez się, niektóre zbyt dyletanckie dowcipy, bardzo luźnie tylko do ogólnej przyczepione osnowy.

W rysunku poszczególnych typów pragnęlibyśmy także więcej prawdy i precyzji. Kim jest właściwie Radudyński? Zdradza on zrazu pociąg do wynalazków, pomimo to jednak gubi się później wyłącznie w zagadnieniach filologicznych a zresztą daje się machinalnie popychać wypadkom; tej figurze stanowczo brak markowanej linji. Kunegunda wcale nie jest taką, jakiej się spodziewamy po wstępnej rozmowie Radudyńskiego ze służącym; Pedałowiczowi, chociaż niechętnie, musimy wybaczyć jego bajeczną łatwowierność, niczem nie uzasadnioną, bo inaczej nie byłoby intrygi, ani — co za tem idzie — niniejszej komedji. A gdzież *spiritus movens?* Jest nim para kochanków Filip i Helena, lecz ci usunięci na plan najodleglejszy, właśnie dla tego nie mogą w porę sukursować nie dostrojonej należycie intrygi. Ta luka dotkliwie mści się na całości.

Z tego wszystkiego, co wyżej *sine ira et studio* powiedziano, wypada nabrać przekonania, że całość, mimo wielu chwilowo olśniewających błysków dowcipu, w gruncie rzeczy jest utworem dość słabym, a to tak pod względem niedostatków w układzie planu, jakoteż pod względem wykonania i rozmieszczenia szczegółów architektonicznych.

R. St.

WYKAZ PSEUDONYMÓW*)

używanych przez autorów polskich

ułożył

EDWARD MINKOWIECKI

Abgar Oswald — Zacharjasiewicz Fran. Xaw.
Agricola — Akielewicz Mikołaj.
Agrykola — Merzbach Henryk.
Ajo — Rogosz Józef.
Albert Wojciech — Wiśniowski Teofil.
Aletawybo — Hofman Jakób Fryd.
Alf — Szczepański Alfred.
Alkas — Kraushaar Aleksander.
Ambroszkiewicz — Korzeniowski Józef.
Andrysowicz — Łukaszewicz Józef.
Anna Krakowianka — Libera Anna.
Anna z Krakowa — Terlecka Anna.
Antoni J. Dr. — Rolle Ant. Józef.
Antoni z nad Wisły — Jeziorański Ant.
Arbazowski — Morawski Szczęsny.
Artomiusz — Darewski Weryha Aleks.
Au. Lir — Lenartowicz Teofil.
Auszlawis — Baliński Michał.
Autor Anny — Czajkowski Michał.
Autor Dawnego autoramentu — Jankowski Placyd.
Autor Filozofji praktycznej — Mańkowski Feliks.
Autor Kłopotów starego komendanta — Wilczyński Albert.
Autor Kłosów z rodzinnej niwy — Pietkiewicz Antoni.
Autor Listopada — Rzewuski Henryk.
Autor Listów z zagranicy — Witwicki Stef.
Autor Ogrodów północnych — Strumiłło Józef.
Autor Pamiątek starego szlachcica — Rzewuski Henryk.
Autor Pana Jana ze Świsloczy — Chodźko Jan.
Autor Pojaty — Bernatowicz F.
Autor Sobótki — Goszczyński S.
Autor Świstka krytycznego — Potocki Stanisław.
Autor Szwedów w Polsce — Czajkowski M.
Autor Wieczorów pod Lipą — Siemieński L.
Autor Wizyty w sąsiedztwo — Morawski Fran.
Autorka Henryka i Floretty — Widulińska Joanna.
Autorka w Imię Boże — Puzynina z Güntherów Gabryella.
Autorka Karoliny — Hofmanowa Klementyna.
Autorka Odwiedzin babuni — Nakwaska Anna.
Autorka Pamiątki po dobrej matce — Hofmanowa Klementyna.
Autorka Pierścionków Babuni — Wojnarowska Karolina.
Autorka Ragany — Rautenstrauchowa Ł.
Autorka Wieczorów czwartkowych — Zaleska Marja.
Autorka Zofji i Emilji — Jaraczewska Elżbieta.
Bakałarz z Lwigrodu — Sobieski Stan.
Bartłomiej z pod Wiśnicza — Wolski Ludwik.
Baru (Z) Henryk — ob. Henryk.
Baturnicki — Lewestam F. H.
Bawororwa (Z) Wiktor — Baworowski Wiktor hr.
Bejła Jarosz — Rzewuski Henryk.
Berezyny (Z nad) Jan — ob. Jan.
Berlicz Sas — Strutyński Jul. hr.
Bezmaski Józef — Raczyński Fran.
Biberstein — Kosiński Adam Am.
Bielca (Z) Janek ob. Janek.
Blepoński Izasław — Szczeniowski Tytus.
Błydowski — Sabowski Władysław.
Bochni (Z) Józef — ob. Józef.
Bodzantowicz — Suffczyński Kaj.
Bogdański — Dziekoński Bogdan.
Bogobojna — Łuszczewska Jadwiga.
Bogumił Bogdan — Estreicher Karol.
Bolej Krut. — Lubowski Edward.
Bolesław Wiktor — Budziński Stan.
Bolesławic (Z) — Rusiecki K.
Bolesławita — Kraszewski J. I.
Bolesta — Dzierzkowski Józef.
Bolesta Jul. — Koziebrodzki Wład.
Bomba — ob. Etcetera Bomba.
Bomba A. — Święcicki Paulin.
Bonawentura z Kochanowa — Potocki Leon hr.
Borski J. A. M. — Amborski J.
Bożenna — Walewska Aniela.
Brambeus — Sękowski Józef.
Bronisława — Janiszewska Julja.
Brzetysław — Matejko Fran.
Brzoza — Brzozowski Ludwik.
Buława Ernest — Tarnowski Wład.
Burczymucha — Wojniłłowicz Ksawery.
Burtynikas Władysław — Smoleński Wład.
Cezary — Glücksberg Emanuel.
Chamski M. D. — Dzikowski Mieczysław.
Charles Edmond — Chojecki Edmund.
Chlewaski — Glücksberg Emanuel.
Chłop z powiatu Marjampolskiego — Akielewicz Mikołaj.
Chochlik — Zagórski Włodzim.
Chodakowski Zorjan Dołęga — Czarnocki Adam.
Chrześcijanin — Zagórski Apolinary.
Chwalibóg Jan — Moraczyński Jan.
Comber — Darewski Weryha Aleks.
Cyprynus — Przecławski Józef.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Przedruk z «Kłosów» — poprawiony i uzupełniony. (P. R.)

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** „Zbioru pamiętników do historji powstania polskiego z roku 1830—1831" — (wydawnictwo komitetu jubileuszowego, przeznaczone na wsparcie weteranów 31 r.) — Zeszyt II wyszedł z pod pras drukarskich i zawiera dokończenie pamiętników Henryka Bogdańskiego, oraz nader cenny i ciekawy pamiętnik Alfreda Młockiego, spisany w listopadzie i grudniu 1831 r.

Wszyscy prenumeratorowie, gdziekolwiekbądź złożyli przedpłatę na to dzieło, mogą je odebrać w Księgarni Polskiej we Lwowie.

*** W Krakowie wyszły z druku „Poezje Czesława" Zeszyt II. O poezjach tych, z których wiele drukowanych było w naszem piśmie, pomówimy wkrótce obszerniej.

*** Nakładem i staraniem p. G. Kohna w Samborze wyszła z druku Nowa serja prac różnych autorów t. z. „Wydawnictwa na cele dobroczynne Samborskie."

*** Literatura nasza podróżnicza wzbogaciła się świeżo wydanemi wrażeniami, obrazkami i opisami z dobrowolnej podróży po Syberji odbytej przez p Bronisława Reichmana, który wypuścił je obecnie w świat w formie książkowej pod tytułem „Z dalekiego wschodu".

W króciutkiej przedmówce, sz. współpracownik nasz uprzedza czytelnika, iż przedewszystkiem szło mu o to, aby być wszędzie „wiernym malarzem" i dlatego aby pisać prawdę i tylko prawdę nie dawał się porwać fantazjowaniu, w które tak łatwo wpadają turyści opisujący dalekie i mało znane kraje.

Praca pana R. stanowi przyczynek do poważnej nauki „o tajemniczym kraju, budzącym coraz większą ciekawość w Europie".

*** Rzadkiego powodzenia w wydawnictwie polskiem doczekała się skromna „Gramatyka polska" Sierocińskiego.

Świeżo — jak donosi „Gaz. warsz". — ukazało się w handlu dwudzieste trzecie jej wydanie, wyszłe z pod prasy p. Ginsa w Warszawie w ilości 3.000 egzemplarzy.

Ponieważ i poprzednie wydania ukazywały się mniej więcej w takiej samej ilości, poszło więc dotąd w obieg z górą 60.000 egzemplarzy.

*** W tych dniach w Wiedniu ukaże się z druku nowe dzieło następcy tronu Rudolfa, zawierające szkice z polowania w Karpatach

*** Dziennik wiedeński „Semaine" podaje szereg szkiców literackich o współczesnych pisarzach zagranicznych.

Na początek podano studjum o Henryku Sienkiewiczu pióra Juliusza Miena, skreślone bardzo ciepło i z wielką znajomością rzeczy.

Jako „specimen" talentu Liwosa, autor podaje utwór: „Janko muzykant" i rozbierając jego zalety, przytacza całe ustępy w tłomaczeniu.

*** W ostatnim zeszycie czasopisma: »*Neue Archiv für Sächsische Geschichte,*« znajduje się interesujący nas artykuł p. t. „Dwór Sasko-Polski" pióra Freiherr'a.

Rzecz skreślona wyczerpująco na źródłach znajdujących się w Dreznie.

*** „Illustrazione italiana" obejmuje wyczerpujący życiorys astronoma Dębowskiego, który czas jakiś pracował w Anglji a potem na półwyspie apenińskim z wielkim pożytkiem na polu nauk ścisłych.

Jego odkrycia — jak już wspominaliśmy — zwróciły uwagę świata uczonego.

*** W niemieckiem czasopiśmie »*Astronomische Nachrichten* dr. Jędrzejewicz zamieścił opis swego obserwatorjum astronomicznego w Płońsku.

W opisie tym dr. J. wyłuszcza narzędzia, jakiemi się posługuje w swoich obserwacjach.

Obserwatorjum płońskie jest zarazem i stacją meteorologiczną — dr. J. prowadzi także spostrzeżenia meteorologiczne i notuje takowe po trzy razy dziennie.

*** Archeolog Tiesenhaus zwiedził główniejsze archiwa europejskie, celem zebrania materjału do napisania wielkiego dzieła o „Złotej Hordzie."

*** W paryskim teatrze „Les Nations" przedstawiono w tych dniach po raz pierwszy sztukę ludową, która cynizmem o wiele przewyższa osławioną „Nanę". Nosi ona tytuł „Zoe Chien Chien" i opracowaną jest podobnie jak „Nana" przez Williama Busnacha, a mianowicie z romansu Artura Arnoulda, b. członka komuny. Sztuka wywołała w kilku najwstrętniejszych scenach żywy protest publiczności.

*** Bożek wojny nie proteguje sztuki.

Niemcy od czasu zaokrąglenia granic najlepszym są tego dowodem.

Dawna decentralizacja sprzyjała krzewieniu oświaty i zmysłu piękna, którego potężnym czynnikiem były muzea i teatra.

Tymczasem przybytki te wciąż się zmniejszają.

Przed rokiem książę Reuss był zmuszonym cofnąć subwencję trupie dramatycznej w Gera.

Obecnie skutkiem tego teatr tameczny zaczyna się chwiać.

W Dessau położenie jest takie samo, gdyż zamykają operę.

Wreszcie w Coburgu, gdzie książę panujący jest kompozytorem i nadzwyczajnym lubownikiem Talji, teatr stały przestaje funkcjonować i dla przejezdnych trup otwiera podwoje.

Okoliczności te stanowiące charakterystyczne objawy obecnej epoki, zwróciły uwagę korespondenta angielskiego „Ateneum," zkąd wiadomość niniejszą czerpiemy.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Z Pragi donoszą nam, iż w dniu 13. bm. jako w przeddzień rocznicy śmierci wieszcza naszego Zygmunta Krasińskiego, w sali „Umeleckiej Besedy" dany został przez praskie „Koło polskie" wieczór muzykalno-deklamacyjny.

Pomiędzy innemi na wieczorze tym p. T. Jeske-Choiński miał odczyt „o szlacheckości w poezji Krasińskiego," a ks. prałat Sztulc odczytał rzecz: „Krasiński jako wieszcz."

Z utworów muzycznych pani Jeske- Choińska odśpiewała arje z opery Verdiego „Don Carlos," i kilka swoich kompozycyj.

*** W dniu 26. b. m. przypada ośmdziesiąta rocznica urodzin Wiktora Hugo, na który to dzień czynią się w Paryżu wielkie przygotowania. Ludność ma się zebrać przy Arc de Tromphe i następnie defilować przed mieszkaniem sędziwego poety. Delegowani z prowincji wręczą mu kwiaty. W Hippodromie urządzony będzie wielki festyn, w czasie którego najpierwsi artyści oddeklamują ustępy z dzieł Hugona. Z jednej połowy dochodu zakupiony zostanie podarek honorowy, a druga połowa ma być rozdaną ubogim Paryża.

*** Szpitale paryskie mają być zaopatrzone w księgozbiory dla użytku chorych: *Assistance publique* otwiera na ten cel kredyt w sumie 10,000 franków.

*** Dr. Schliemann podarował swój zbiór starożytności trojańskich Niemcom dla wystawienia w stolicy państwa; zbiór składa się z czterdziestu skrzyń.

*** Cenna bibljoteka Karola Clare w Londynie sprzedaną została w tych dniach przez publiczną licytację; za pierwsze wydanie poezyj Szekspira, datowane 1640, zapłacono 51 funtów szterlingów, a za oryginalny manuskrypt Waltera Scota „Guy Mannering" 390 funtów szterlingów.

*** Donoszą z Paryża, iż w olbrzymiem przedsiębiorstwie Lessepsa, w przekopaniu kanału panamskiego, przyjęło udział wielu naszych rodaków. Między innymi wyruszyli już na miejsce Dziembowski (w wydziale pionierów), Gałęzowski (w biurze studjów), Weber (w służbie technicznej). Rodacy nasi zajmują naczelne stanowiska.

*** W jednem z specjalnych pism rosyjskich wychodzących w Petersburgu, inżynier p. Zglenicki donosi o znalezieniu nafty w obrębie Królestwa Polskiego.

Miejscowość w której odkryto naftę, jest położona w powiecie stopnickim, gubernji kieleckiej, w odległości trzech kilometrów od brzegów Wisły, we wsi Wójcza, w której znajduje się wzgórze wznoszące się nad wielkiem bagnem.

Na powierzchni wód tego bagna zbiera się ciecz oleista, której włościanie oddawna używają do palenia i smarowania wozów.

Właściciel wsi Wójcza przekonawszy się, że owa ciecz jest identyczną z ropą naftową zaczął robić poszukiwania, które jednak dotychczas nie dały dobrych rezultatów.

*** Wspominaliśmy niedawno o kilku nowych wynalazkach w dziedzinie przemysłu, a między innemi o inwencji kopjowania obrazów..

Dziś jesteśmy w możności dać czytelnikom bliższą wiadomość o tym zdumiewającym rzeczywiście wynalazku, którego ojczyzną jest Holandja.

Mieliśmy już sposobność oglądać parę próbek kopij obrazów dwóch współczesnych belgijskich i holenderskich artystów, Serrura i Rochussena, wykonanych na drzewie, według systemu p. Henryka Bogaertsa i z podziwieniem ujrzeliśmy w nich nietylko najwierniejszą reprodukcję rysunku i kolorytu, ale najściślejsze naśladowanie każdego pociągnięcia pędzla — słowem, kopje te nie są kopjami, ale raczej dubletami oryginałów!

Nadmienić musimy, że reprodukcje robione są na drzewie.

Wynalazek Bogaertsa wytrąci niezawodnie berło olejodrukom i fotografjom.

*** We Włoszech, atrament świecący żywe budzi zajęcie.

Za pomocą tego wynalazku można będzie czytać w nocy nie zapalając światła, a w podróży inkaust rzeczony będzie prawdziwem dobrodziejstwem.

Pierwsza gazeta w ten sposób drukowana ma wychodzić w Turynie.

*** W Ameryce przekonano się, że żuk kartoflowy, klęska dla rolników, wydaje farbę czerwoną piękniejszą od wszystkich dotąd znanych.

*** Pod Braga w Portugalji, odkryto przed niedawnym czasem podziemne miasto nakształt Pompei.

Obecnie dalsze wykopaliska prowadzone z energją ujawniły przed światem uczonym nadzwyczaj cenne zabytki.

Starożytne mury, mnóstwo pamiątek, zdaje się pochodzenia celtyckiego, zwiększą bogate zbiory archeologiczne, któremi się nauka posilkuje.

Rzeźby w znacznej liczbie odnalezione wskazują, że mieszkańcy tego grodu przybyli tu przed wiekami z Turanu.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.